

KOLOROWY PTAK BMW

MARIUSZ ZIOMECKI

W niedzielę zebrało się na lotnisku w Poznaniu wiele tysięcy ludzi. Wskazywało to jednoznacznie na niestuszną tezę, jakoby sport samochodowy był rozrywką wyłącznie elitarną: zawodnicy bawią się w wyścig, publiczność w czekaniu na „dzwon”. Rozrywką pomyślaną jako jednoznacznie masowa miało być ciągnięcie szczęśliwych numerków poznańskiej gry liczbowej „Koziołki”. Ale sprawą, jako niepoważną, nikt się nie interesował.

*

Czerwony fiat rozbił się na pierwszym wirażu. Kierowca z kamiennym spokojem krzątał się wokół wraka. Przytwierdzał plastrem szybę.

— Gdybym miał więcej pieniędzy, to bym dwa razy dziennie tak się przewracał — mówił pan z publiczności i jeszcze raz jasne się stało, jak wielką przepaść dzieli naszą mentalność humanistyczną od drobnomieszczańskiej filozofii ciułania i pracy u podstaw. Również w środowisku samochodziarzy ujawnienie zakłopotania po stracie kosztownego auta uchodzi za dowód braku form i ogłady towa-

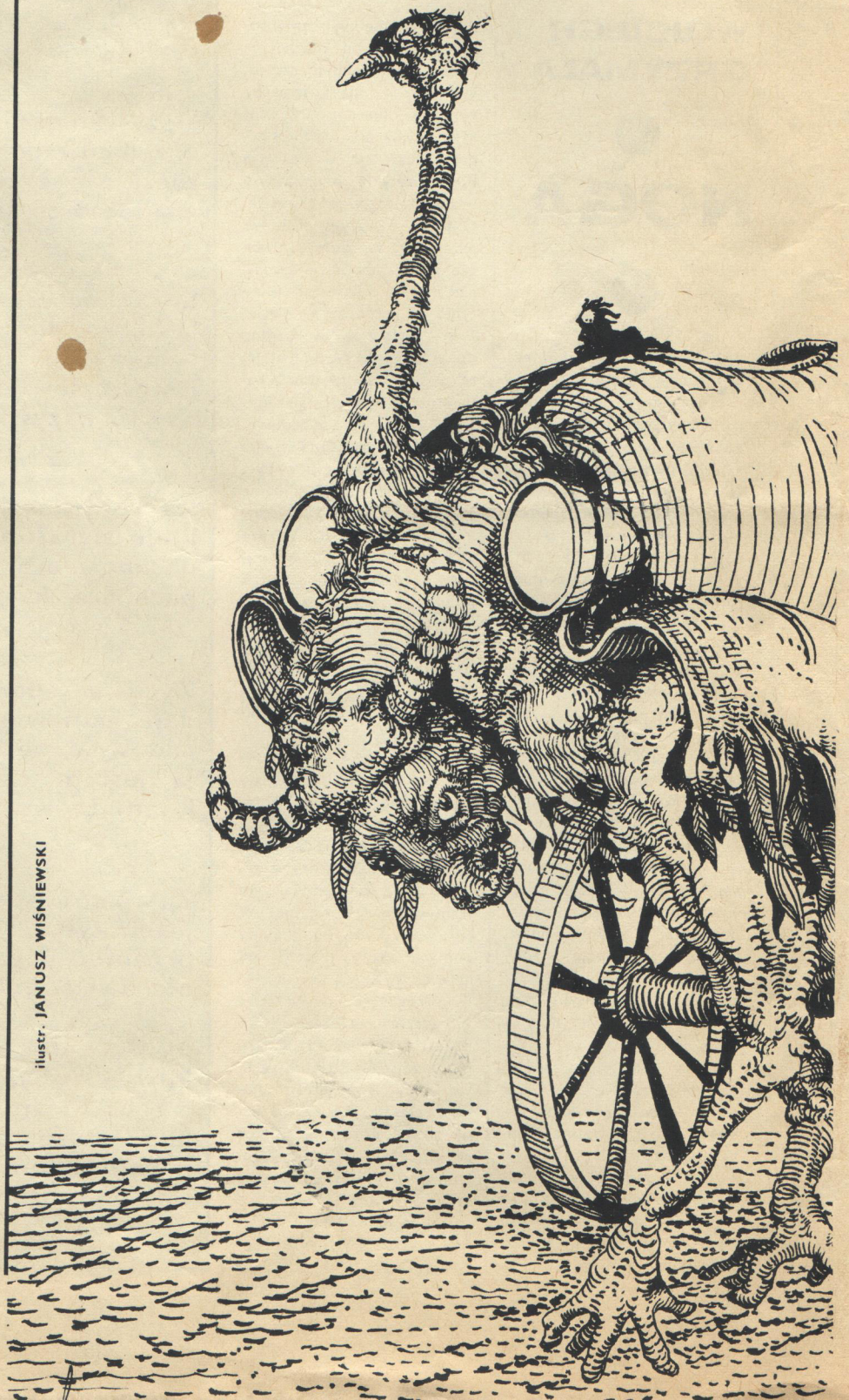
rzyskiej. Niedawno na rajdzie samochód katapultował w powietrze, pilot wypadł przez otwarte drzwi. Wóz przetoczył się nad nim, by skończyć lot w polu uprawnym. Pytanie: co powiedział kierowca do pilota? Kierowca nie jęczał: „o Jezu, Jezuniu najstodszy”, jak pan Konarski, kiedy uderzył na Marszałkowskiej syreną w barierkę, tylko mówił: „człowieku, dachowaliśmy, niepotrzebnie wysiadałeś w najciekawszym momencie”.

Tak należy się zachowywać.

Jest rzeczą oczywistą, że oderwanie się od mentalności drobno-

mieszczańskiej wymaga przyzwoitych dochodów. Tak się jakoś składa, że najlepiej oderwani bywają artyści i prywaciarze. Bądź ich potomstwo. Ściga się też paru cudzoziemców. Pan Lattari, pan Gracciani (zwany popularnie królem prostej dla swojej nieumiejętności radzenia sobie na zakrętach).

Nasi czołowi faworyci, bohaterowie imprez w białych kombinezonach. Wicekról Cyganów, firma pośrednictwa samochodowe, kilka warsztatów naprawy, guma do żucia, słone paluszki, warzywa pod szkłem. Sklep kolonialny. Student



ilustr. JANUSZ WIŚNIEWSKI

Uniwersytetu Warszawskiego. I paru ubogich fanatyków, wiecznych dębaczy, uparanych po łokcie w smarze, którzy rozbiierają swoje trabanty na miłki proszek i składają, żeby parę razy w sezonie wystartować w okręgowce. Ale nie oni nadają smak imprezie.

*
Pierwszy, drugi, trzeci wyścig.

Porsche „Carrera” Smorawińskiego wyprzedza inne wozy jak dziecinne rowerki. Alfa Romeo Lattariego unosi w powietrze przednie koła, kiedy przy prędkości 80 na godzinę gwałtownie dodaje gazu. Porsche prowadzi. Ludzie obserwują białą żabę z niekłamnym podziwem: Smorawiński daje.

— Krupa daje.

— Kiriańczyk daje.

„Biorą” syrenki, trabanty, źle zrobione fiaty i w ogóle wszelkie dziadostwo.

Śmierdzi palącą się guma na zakrętach. Komuś zapalił się cały samochód.

W parku maszyn targowisko próżności. Piękne dziewczyny kają głowy pod maski, zagadują przymilnie panów mechaników.

— To co pan robi, jak zawór się podwiesza?

— Nie podwiesza, tylko zawieszają. Podkładki pod sprężyny dają.

— A TB-5 tu pasuje?

Mistrz kopie walcowaną, fabrycznie łusą oponę: — no przecież.

Pełno chłopczków, miłośników, znawców wytrawnych, zauroczonych przez kolorowego ptaka BMW. Kręcą się wokół zawodników, chodzą do Automobil-Klubu, widąc ich na wszystkich imprezach. Marzą na jawie, w nocy śnią im się elementy wyposażenia dodatkowego. Mania wyścigowa wywołuje nieco patologiczny stosunek do życia;

wiedząc to, czasem ktoś powierza im skromne funkcje organizacyjne, machanie chorągiewką, wpisywanie wyników do protokołu na punkcie kontroli czasu.

*

Samochody ścigają się. Parę zjeżdża na pobocze w chmurach białego dymu spod masek. Kilka innych kolejno wypada z trasy i ślizgając się na zablokowanych kołach sunie raźnie w stronę publiczności. Tani drgnie. W tłumie jest za ciasno.

Syrenka w pędzie wyprztykuje oponę w publiczność, trabant syje szkłem. Fiat robi „dzwon”. Bez ofiar. Ciagle bez ofiar.

Wielka forsa mieni się w słońcu, wrzask silników świdruje w zmęczonych uszach. Skrzypi głosnik organizatorów, echo pulsuje, nakłada słowa. „Koziołki” wylosowane.

— ...kto sobie takie wybrał numer, na pewno ma dużą wygraną...

Ksawery Frank wyprzedza raz po raz, pokazuje klasę starej gardii.

— Dziadek twardy.

— Na stare lata musi się tak poniewierać po torze, tarzać w pyłę, a młode byki stoją z założonymi rękami.

— Zająłaby się młodzież tym pięknym sportem, zamiast obijać się po mieście.

Chęć zobaczenia z bliska silniejsza jest od instynktu samozachowawczego. Ciagle trzeba odsuwać ludzi od toru.

— Będziemy musieli przerwać imprezę — chrypi Organizator — to dla państwa są te wyścigi.

— Więc to dla nas poświęcają się ci wspaniali mężczyźni...

*

Sprawa wymaga pewnego wyjaśnienia. Nie upierałbym się przy stwierdzeniu, że ściganie się samochodami jest misją, ale sądzę, że jest zjawiskiem korzystnym z przyczyny następującej: wyścigi, oprócz tego, że ożywiają naszą szarawą czasami egzystencję, mają też ten walor, że można w nie włożyć masę pieniędzy, więcej niż normalny człowiek jest w stanie przepić w ciągu roku. Ale przepijanie, nawet wielkich pieniędzy, dostarcza dobrej rozrywki tylko przepijającemu. Może jeszcze paru osobom z nim zaprzyjaźnionym. Wyścigi samochodowe stwarzają zupełnie nową optykę: szerokie warstwy społeczeństwa siedzą wokół toru i w jakiś sposób partycypują w upłynianiu części dochodu narodowego, który wydawał się być już bezpowrotnie podzielony.

